

KELLY CREAGH

Przekład: ALEKSANDRA KRAKOWSKA

NEVERMORE
CIENIE



Mamie,
mojej najlepszej przyjaciółce

Tytuł oryginału: *NEVERMORE. ENSHADOWED*

Text copyright © 2012 by Kelly Creagh

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Fotografie wykorzystane na okładce: © KHIUS/Shutterstock.com,

© andreiu88/Shutterstock.com

REDAKCJA: Anna Pawłowicz

KOREKTA: Aneta Szeliga, Agnieszka Zygmunt

SKŁAD I ŁAMANIE: Arkadiusz Zawadzki/Aureusart

Fragmety wiersza *Kruk* Edgara Alla Poeego w tłumaczeniu Jolanty Kozak.

Fragmety *Zagłady Domu Usherów* w tłumaczeniu Stanisława Wyrzkowskiego.

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-245-0

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: GRAFARTI

Wydrukowano na papierze CHB 60/2,4, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

Zjawiska rzeczywistości potrącały o mnie jako sny, i tylko jako sny, podczas gdy szaleńcze pomysły z krainy snów stały się w zamian nie tylko strawą mego codziennego istnienia, lecz stanowczo jedynym i całkowitym istnieniem w samym sobie.

– Edgar Allan Poe, „Berenice”, przełożył Bolesław Leśmian

*O pani, jakaż tobie moc
Otwierać każde okno w noc?
Swawolne wiatry z drzew i krzaków
Lecą tu – niby stada ptaków;
Magiczny, bezcielesny rój
Napełnia szmerem pokój twój
I strasznie wokół ciebie płąsa,
I białą twą kotarą wstrząsa,
Gdzie pod zwartymi już powieki
Twoja dusza śpi – ach! śpi na wieki...
Patrz – cienie drżą jak sen cmentarza!
Nic cię to, pani, nie przeraża?*

– Edgar Allan Poe, „Uśpiona”, przełożył Antoni Lange

PROLOG

WASZYNGTOŃSKI SZPITAL UNIWERSYTECKI, BALTIMORE, 7 PAŹDZIERNIKA 1849

Edgarze?
Przemawiając łagodnie, doktor Moran pochylił się nad pacjentem. Jego oczy spoczęły na bladej i wymizerowanej twarzy słynnego poety, Edgara Poego. Tyle że człowiek leżący teraz przed nim na szpitalnym łóżku w przyćmionym, żółtawym świetle lampy nie bardzo przypominał siebie samego z dostojnych portretów. Z zapadniętymi policzkami i woskową skórą, zbliżoną w odcieniu do okrywającej go pościeli, wyglądał raczej jak swój własny duch, pusta skorupa, udręczona imitacja. Ciemne rzęsy u sinych powiek jeszcze pogłębiały czerń obwódki pod jego podkrążonymi oczami. Szerokie czoło lśniło od potu spowodowanego nie tyle – jak wiedział doktor – gorączką, ile wysiłkiem.

Deszcz uderzał o szyby łukowych, gotyckich okien, przywierając do nich kryształowymi kroplami, które łączyły się w lśniące nitki połyskujące na tle ciemności.

Choć zbliżał się ranek, nocne cienie wciąż zalegały pustą, poza jednym szpitalnym łóżkiem, salę.

Na zewnątrz wył wiatr, z ulicy w dole dobiegały od czasu do czasu odgłosy końskich kopyt i rozklekotanych powozów.

– Edgarze – powtórzył Moran. – Słyszysz mnie pan?

Oczy Poego uchyliły się powoli, szkliste i odległe, puste jak oczy lalki, czarne jak atrament. Zapatrzyły się w sufit.

Moran zmierzył pacjentowi puls, zaciskając kciuk i palec wskazujący na lepkiem nadgarstku poety. No tak, serce biło jak szalone.

Zawahał się. Nie chciał, by jego podopieczny znów wpadł w amok, a jednak zależało mu na jeszcze paru minutach przytomnej rozmowy, na choćby chwilowym kontakcie z tym zamkniętym w swoim szaleństwie człowiekiem. Na dodatkowym elemencie układanki, która, w gotowej postaci, dałaby odpowiedź na pytanie, co takiego wydarzyło się cztery dni wcześniej, zanim Poe trafił do szpitala, nieprzytomny, pogrążony w majakach, od stóp do głów pokryty przypominającym popiół pyłem, w cudzym ubraniu, niezdolny udzielić jakichkolwiek składowych wyjaśnień na temat tego, gdzie – albo chociaż, z kim – spędził poprzednie godziny.

– Pamiętasz pan, gdzie jesteśmy? – spytał Moran, poprawiając się na starym drewnianym krześle, które ostro zaskrzypiało.

Ręka Poego niespodziewanie wystrzeliła w powietrze. Jej palce zacisnęły się na dłoni doktora z siłą właściwą przedśmiertnym drgawkom.

– Kto...? – wydyszał Edgar, rżąc, a jego głos zabrzmiał ochryple, zdarty od wielogodzinnego krzyku. – Kto tu jest?

– Spokojnie – poprosił doktor, nie próbując wyzwać dłoni, w nadziei, że dotyk dobrze wpłynie na poetę, przywoła go z powrotem, choć na moment zakorzeni w rzeczywistości.

– Reynolds? – szepnął Poe. Jego niewiarygodnie mocny chwyt jeszcze się zacieśnił, całe ramię drżało z napięcia. – Reynolds... Powiedz, że wreszcie się zjawiliś.

Doktor przełknął ślinę. Oblizał wargi, które rwały się do artykułowania słów, zanim jeszcze wymyślił, co odpowiedzieć.

– Jestem doktor Moran, Edgarze. Pański lekarz. Na pewno pan pamięta.

Twarz Poego wykrzywiła się nagle, jego powieki się zacisnęły, wargi otworzyły, nabierając wyrazu niemego cierpienia. Uścisk zelżał.

– Powinienem był wiedzieć... – jęknął poeta, a każda sylaba składająca się na te słowa ociekała najczarniejszą rozpaczą. – Powinienem był wiedzieć, że mnie tak zostawisz... Tutaj.

– Edgarze – szepnął Moran. – Pragnę jedynie pomóc. Powie mi pan, co się stało? Powie mi pan, jak się pan znalazł w Baltimore?

– Ale ja nie jestem w Baltimore! – krzyknął Poe, rzucając głową na mokrej od potu poduszce. Potem jego oddech stał się płytki i jeszcze szybszy. Przez ciało chorego przebiegł dreszcz tak silny, że całe łóżko zadrżało.

Moran zmarszczył brwi, szukając wyrazów zdolnych utrzymać poetę na powierzchni świadomości, odwrócić jego uwagę od majaków, od tych istot, które podobno widział, jak przenikają przez ściany w kłębach czarnego dymu.

– Panie Poe, wspomniał pan wczoraj, że miał pan żonę. W Richmond. Czy powie mi pan...

– Prawie – wyszeptał Poe. – Prawie. Ale właściwie, Reynolds, ja mam żonę. – Przy tych słowach przesunął palcami po klatce

piersiowej, ku miejscu, gdzie koszula była rozchylona. – Tutaj. Przez cały czas – zaszedł. – Zamkniętą w tym rozgorączkowanym sercu. Przez cały czas.

– Kim jest ten Reynolds, o którym pan mówi? – spytał Moran. Może przyjacielem?

Może – odparł Poe. Jego dłoń zsunęła się na bok, spojrzenie znów wbił w sufit. – Zobaczmy. Cienie się gromadzą. Słyszysz pan, jak szepczą? Ona się zbliża. Więc zobaczmy.

A potem źrenice mu się rozszerzyły, wypełniając się smolistą czernią.

Moran przyglądał się temu zafascynowany. Z delirium miał już do czynienia wielokrotnie, więc co takiego było w tym człowieku, że sam doktor ledwie powstrzymywał się od zerkania na gołe mury, by się upewnić, że wciąż są w pokoju sami?

Edgar jęknął. Jego ciało się naprężyło. Wygiąwszy kręgosłup, odrzucił głowę do tyłu i zawył. Wijąc się, szarpnął splątane prześcieradła i zapłakał:

– REYNOLDS! Moran zerwał się na nogi.

– REYNOLDS! – krzyknął znowu Poe, tak jak to robił wcześniej całymimi godzinami, zdzierając sobie do cna gardło.

– Edgarze! – zawołał doktor, łapiąc pacjenta za rękę. – Edgarze, tu jesteś bezpieczny.

– REYNOLDS!

– Nic ci tutaj nie grozi. Edgarze, posłuchaj! Już po wszystkim. Słyszysz? Cokolwiek się stało, już po wszystkim!

Wtedy Poe zastygł w bezruchu, z zaciśniętymi zębami i skurczoną w męce twarzą, po której spływały krople potu.

A potem coś się w nim zmieniło. Jak gdyby niespodziewanie się uspokoił, niby rozchybotany płomień świecy, osłonięty znienacka

od lodowatego wiatru. Jego ciało rozluźniło się powoli i w końcu opadł na łóżko.

Po raz pierwszy poszukał wzrokiem Morana.

Doktor patrzył wstrząśnięty, nawet nie mrugając, jak czarne źrenice Poego się kurczą, odsłaniając – niczym burzowe chmury cofające się znad morza – jasne, niebiesko-szare tęczęwki.

Poeta, całkiem teraz przytomny, spoglądał na niego uporczywie i rozumnie.

– Czy to już? – spytał.

Westchnął, a jego ręka w dłoni doktora zwiotczała.

– Boże, zlituj się nad moją biedną duszą – powiedział jeszcze, a blask w jego oczach zgasł tak szybko, jak się pojawił.

– Edgarze! – krzyknął Moran.

Ale było za późno: w pustych źrenicach poety nie został nawet ślad dziwnego światła.

MARTWA CISZA

No dobra, Jastrzębie – rzuciła Ann, trenerka. – Udało się. Możemy oficjalnie zakończyć ostatnią próbę przed rozgrywkami krajowymi. To znaczy ostatnią do czasu, aż znajdziemy się w Dallas.

Isobel odetchnęła, z ulgą opuszczając ramiona.

Dookoła rozległy się zmęczone pohukiwania i oklaski, wszyscy rzucili się po swoje butelki z wodą i ręczniki.

Tępy ból powoli rozpełzł się po ciele dziewczyny, w miarę jak rozluźniała kolejne mięśnie. Czuła się niby puszczona swobodnie, a wcześniej skręcona do granic wytrzymałości lina.

Powtórzyli układ co najmniej dwadzieścia razy i nawet gdyby trenerka chciała, żeby zrobili to znowu, to ona, Isobel, wątpiła, by starczyło jej sił na jeszcze jeden obrót w powietrzu, nie wspominając już o zgrabnym lądowaniu.

Czuła, że cały zespół powoli traci energię, jak urządzenie chodzące na pojedynczej, wyczerpującej się baterii.

Trenerka musiała też to zauważyć. Isobel była pewna, że trzymałyby je w sali gimnastycznej do północy, gdyby nie wyraźnie narastający w zespole bunt.

Przy tym wielokrotnie już urządzała im takie szkoły przetrwania, maratony pod hasłem: „Dopinguj, aż padniesz” – zwłaszcza jeśli w grę wchodziły ważne zawody. A teraz w grę wchodziły te najważniejsze. Isobel domyślała się jednak, że celem tak wyczerpującego treningu było nie tyle dopracowanie ostatnich szczegółów układu, ile zmęczenie wszystkich do tego stopnia, by po powrocie do domu mogli tylko przewrócić się na łóżko.

– Dzisiaj w nocy macie się wyspać – zawołała trenerka, jakby dla potwierdzenia tych domysłów, przekrzykując gwar śmiechów i rozmów. – Czyli żadnego Facebooka, żadnych nocnych esemesów, żadnych telefonów o drugiej w nocy, żeby zamienić jeszcze słówko z Królem albo Królową Tygodnia, żadnego odgrywania w salonie scen kaskaderskich. Tak, mówiłam do ciebie, Dorbon. Chcę was tu widzieć jutro, punktualnie o piątej rano, niepołamanych, zwartych i gotowych. Jasne? – Uniosła masywne ramię wysoko ponad szopę brązowych, kręconych włosów i wskazała na zegarek. – Autobus odjeżdża dokładnie o szóstej, więc nastawcie budziki. Żadnych czterdziestokrotnych drzemek. Żadnego: „A bo ja zapomniałam stroju”. Żadnych wymówek. Nie muszę wam chyba przypominać, że na spóźnialskich nie czekamy.

Skoro już była mowa o spóźnieniach, Isobel zaczęła się zastanawiać, która to godzina. Odnosiła wrażenie, że trening trwał naprawdę bardzo długo.

Zerknęła na wiszący ponad wejściem do sali biały zegar, osłonięty przed piłkami metalową siatką.

Tyle że na widok stojącej w drzwiach ciemnej, znajomej postaci opuściły ją wszelkie myśli na temat upływu czasu.

Z rękami w kieszeniach czarnych dżinsów patrzył na nią zza ciemnych, odblaskowych okularów, a twarz miał spokojną, pozbawioną wyrazu.

Natychmiast ogarnęła ją panika, której towarzyszyło dziwne, uporczywe mrowienie gdzieś w głębi umysłu, sprawiające, że czuła się jak matka raz po raz ciągnięta przez dziecko za skraj sukienki. Zupełnie jakby jakaś utajona część jej samej próbowała zwrócić na siebie jej uwagę.

Z tyłu dobiegał głos trenerki Ann, ciągnącej swoją przemowę na temat strojów oraz odpowiednich wkładek do obuwia. Wstążki do włosów miały tym razem być niebieskie, a nie żółte, grzmiała. Spódnice gładkie, nie plisowane.

Jej głos wszakże stawał się tym odleglejszy, im dłużej Isobel patrzyła na postać w progu. Ściany sali gimnastycznej, reszta zespołu, parkiet – wszystko powoli się rozmywało, aż w końcu został tylko on.

Ruszyła ku niemu i wyciągnęła rękę ku jego okularom, czując przemożną chęć, by mu je zdjąć i spojrzeć w oczy.

Powstrzymał jej dłoń. Jego dotyk sprawił, że się zatrzymała, a narastający w niej nieokreślony lęk zniknął, gdy tylko splotły się ich palce.

Jego ręka była taka ciepła.

– Gotowa? – spytał.

Jego głos przetoczył się przez nią – niski, miękki i trochę zachrypnięty, kojarzący się ze stłumionym szemraniem winylowej płyty tuż przed początkiem piosenki. Natychmiast uspokoił jej rozszalałe myśli, znieczulając ją jak narkotyki.

Jej oczy ześlizgnęły się z jego okularów na usta, których jeden kącik drgał w lekkim uśmiechu. Światło padło na kolczyk w wardze, sprawiając, że zamigotał.

Nagle poczuła, że brak jej tchu. Zapragnęła, by ten kawałek metalu dotknął jej własnych ust. Zupełnie jakby pocałunek mógł przywrócić jej oddech.

Jednakże nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że czegoś w tym spotkaniu, w samej jego obecności nie rozumie. Że jej umysł zawieruszył gdzieś jakąś istotną informację. Albo wręcz bezpowrotnie ją utracił.

– Co... Co ty tutaj robisz? – rzuciła, bo to jedno pytanie wy-sforowało się przed wszystkie pozostałe.

Jedna z jego brwi uniosła się ponad krawędź okularów. Jego półuśmiech pozostał na miejscu.

– Przyszedłem po ciebie. Jesteś moją dziewczyną. Więc teraz mam taki zwyczaj, pamiętasz?

Jego dziewczyną.

Te słowa wbiły się w jej serce jak nóż sprężynowy. Ale ból, jaki wywołały, był raczej łagodny, zbliżony do melancholii, jaką odczuwamy, żegnając przyjaciela, którego, jak wiemy, mamy nigdy więcej nie zobaczyć.

– No, chodź – usłyszała, zanim zdążyła jeszcze o coś zapytać. Odwrócił się powoli, zaciskając dłoń na jej dłoni i ciągnąc ją za sobą. – Musimy iść.

I oto już za nim szła, dostosowując się do jego tempa.

Chciała się obejrzeć, sprawdzić, kto to wszystko zauważył. Trenerka zauważyła z pewnością. Trudno było zrozumieć, dlaczego jeszcze za nią nie wrzeszczy, żeby wracała, że przecież trening kończy się dopiero po końcowej serii ćwiczeń. Nie zdążyła się jednak

obejrzyć. Razem z Varenem dotarli już do podwójnych drzwi wiodących na parking za szkołą.

Przedarli się przez padający gęsto śnieg; szaro-purpurowe chmury zasłaniały niebo, nie zostawiając miejsca zimowemu słońcu.

Czarny cougar – rocznik 1967 – stał samotnie na pustym parkingu, podobny do kleksa na nieskalanej poza tym, białej powierzchni.

Isobel zmarszczyła brwi. Gdzie się podziały inne auta? Gdzie były te wszystkie minivany i SUV-y, które powinny tu czekać na resztę zespołu? Gdzie znikł przyćmawiony, rdzawoczerwony suburban trenerki?

– Muszę ci coś pokazać – powiedział Varen, nie odwracając się w jej kierunku. Skupiła się teraz na jego karku, gdzie czarne, jedwabiste, nie równe jak skrzydło kruka włosy ocierały się o krawędź koszulki.

Czy naprawdę dopiero w tym momencie zauważyła, jak urosły?

Smagnięta zimnym wiatrem spojrzała na nagie ręce Varena, zastanawiając się, dlaczego on nie ma na sobie swojej kurtki.

– Varen, dokąd idziemy?

– Zobaczysz – rzucił tylko, pospiesznie przemierzając parking. Na świeżym, sypkim śniegu w ogóle nie było słychać kroków.

Gdy stanęli obok cougara, Varen otworzył przed nią drzwi, a znajome wnętrze w kolorze burgunda rozjaśniło się światłem znad kierownicy.

Isobel zawahała się i zerknęła na niego. Przystępując z nogi na nogę, skinął w stronę tapicerki na siedzeniach.

– Tak – powiedział. – Przepraszam. Wciąż czekam na te pokrowce z norek.

Isobel posłała mu krzywy uśmiech. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć na jego firmową ironię jakąś własną ciętą uwagą, zastanowiło ją coś w jego wyglądzie.

Czegoś brakowało. Coś było nie w porządku...

Nagle zdała sobie sprawę, że choć stoi tuż przed nim, nie widzi swojego odbicia w lustrzanych szklach jego okularów; dostrzegła w nich jedynie rzędy czarnych drzew o cienkich, podobnych do krat pniach widocznych poprzez gęstniejącą kurtynę śnieżycy.

Zobaczyła tam też wielkiego, hebanowego ptaka, który uniósł się znad jednej z powykrzywianych gałęzi, a odgłos jego młócących powietrze skrzydeł spowodował, że wzdrygnęła się i spojrzała za siebie. Żadnych drzew tam nie było. Ani żadnego ptaka. W oddali wznosiła się jedynie surowa, neogotycka fasada trentońskiego liceum.

Ze swojego miejsca Isobel widziała tylko sterczące ponad dachem cztery iglice wieży, która stanowiła główne wejście do szkoły. W przyćmionym świetle niezliczone okna lśniły bielą jak tysiąc ślepych oczu. Choć przed chwilą rozstała się w sali gimnastycznej z całym zespołem czirliderek, Isobel miała wrażenie, że budynek stoi całkowicie opustoszały – poza ostatnim piętrem, gdzie chyba zauważyła kogoś, kto spoglądał na nich z jednego z okien.

– Wsiadaj – ponaglił Varen. – No już.

Pod wpływem tych słów odwróciła się i opadła na fotel.

Zatrzasnęła drzwi, a gdy spojrzała na siedzenie kierowcy, ku swojemu zaskoczeniu odkryła, że Varen już tam jest, jedną ręką trzymając kierownicę, drugą zaś zaciska na dźwigni zmiany biegów. Masywny onyks w jego szkolnym pierścieniu oleście połyskiwał w ostrym świetle.

Samochód zamruczał. Isobel poczuła, jak jej fotel wibruje do taktu silnikowi, choć nie zauważyła, by Varen przekręcał kluczyk w stacyjce. W aucie rozszedł się zapach spalin, podczas gdy wycieraczki na przedniej szybie zaczęły odgarniać zbierający się tam

śnieg. Tymczasem śnieżycy zgęstniała tak bardzo, że świat na zewnątrz całkowicie znikł.

Leżący obok na fotelu stary discman Varena, podłączony teraz przez niego do samochodowego radia, nagle ożył. Przez okienko w pokrywie Isobel widziała wirującą w środku płytę. Łagodny kobiecy głos przedarł się przez syk zakłóceń. Jej nucenie *a cappella* wypełniło całe wnętrze. Tej nagiej melodii, delikatnej i słodkiej, smutnej, lecz pięknej, Isobel nigdy wcześniej nie słyszała. Głos również brzmiał nieznanymi: był wysoki, niepewny, jakby nieśmiały.

Varen bez uprzedzenia chwycił discmana i wyrwał kable łączące go z radiem, niespodziewanie uciszając zarówno szum zakłóceń, jak i nucenie. Z odpychającą miną rzucił odtwarzacz na tylne siedzenie. Później z powrotem złapał dźwignię i wrzucił bieg.

Jego stopa wcisnęła pedał gazu i ruszyli, błyskawicznie nabierając prędkości. Isobel otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie dał jej dojść do słowa, ostro wchodząc w zakręt.

Wbita w drzwi po stronie pasażera, szukając na ślepo czegoś, czego mogłaby się złapać, przypomniała sobie natychmiast ten wieczór, kiedy odwoził ją do domu i pędził na złamanie karku, głuchy na jej rozpaczliwe prośby, by się zatrzymał. Strach zapłonął w niej jak potarta nagle zapałka. Isobel zacisnęła palce na fotelu, nie dostrzegając za oknem niczego poza niekończącą się bielą.

– Varen! Przecież nic nie widać!

– Nie szkodzi – odparł.

Poczuła, jak jej mięśnie znów się spinają, twardnieją w przeczuciu uderzenia, które z pewnością zabiłoby ich oboje.

– Varen! Pro... – urwała, bo słowa wyparowały jej z ust, gdy przez przypadek trafiła spojrzeniem na niewielki, wmontowany w deskę rozdzielczą zegarek.

Jego wskazówki poruszały się w przeciwnych kierunkach, kręcąc się leniwie, ale bez przerwy. Strzałka prędkościomierza kołysała się tam i z powrotem jak wahadło metronomu.

Wskaźnik paliwa pokazywał, że bak jest pusty, a jednak Isobel słyszała pomruk silnika pijącego paliwo.

– Czekać – szepnęła, bardziej do siebie niż do Varena. – To nie... To s...

– Przestań – syknął. – Jeszcze nie teraz.

Jego stopa znienacka opadła na hamulec. Isobel poleciała do przodu, podczas gdy samochód z piskiem opon wpadał w poślizg. Śnieg zalegający na przedniej szybie zaczął znikać – zupełnie jak piasek zdmuchiwany ze starożytnego grobowca. Choć właściwie, pomyślała Isobel, nie był to śnieg, tylko popiół. Małeńkie skrawki jaskrawej purpury trzepotliwie opadały wszędzie wokół, podświetlając szyby.

Samochód zatrzymał się gwałtownie, aż Isobel odrzuciło do tyłu. Roztrzęsiona zwróciła się ku kierowcy, by odkryć, że już go nie ma na miejscu, a drzwi po jego stronie są szeroko otwarte.

Na zewnątrz spadały z nieba setki czerwonych róż; ich woskowate listki szeleściły w nagłych powiewach wiatru, który powodował, że na dach auta sypało się coraz więcej płatków koloru krwi.

W powietrzu wisiał gęsty, oszałamiający zapach kwiatów.

Isobel sięgnęła ku klamce, ale drzwi otworzyły się, zanim zdążyła za nią pociągnąć. Szarpnięta niespodziewanie za rękę, znalazła się nad poszarpaną krawędzią czarnego urwiska.

Daleko w dole mleczne wody miesiły się pośród spiczastych skał: fale waliły jedna za drugą, atakując niby białe wilki i roztrzaskując się o gładką, pionową ścianę.

Isobel pisnęła cicho. Szybko cofnęła się ku siedzeniu kierowcy. Wygięta, złapała się kierownicy, chcąc wydostać się z auta drugą stroną.

Twardo upadła na ziemię. Leżąc na plecach, zgięła nogę i kopniakiem zatrzaskała drzwi cougara.

Pod wpływem niosącego się echem uderzenia samochód rozsypał się w proch.

Uniosła ramiona, by osłonić twarz przed opadającym pyłem. Przez jego rzednącą zasłonę ujrzała, że urwisko znikło i że teraz otaczają ją ze wszystkich stron ściany czerwonych płatków.

Potem spomiędzy nich wyłonił się znajomy kształt.

Była to fontanna z dzielnicy Varena. Stała teraz pośrodku kolistej, sklepionej, zamkniętej płatkami przestrzeni.

Pozbawiona przezroczystej wodnej zasłony, spływającej z krawędzi okrągłego, zielonkawego basenu, wydawała się milcząca i groźna.

Isobel dźwignęła się na nogi. Jej treningowe tenisówki, oblepione pyłem, odcinały się kredową bielą od czerwonego dywanu płatków.

Utkwiła oczy w stojącym na szczycie fontanny posągu kobiety, która zaciskała dłonie na sztywnym, kamiennym szalu, układającym się wokół jej niemal nagiej sylwetki w przekręcone „C”.

Isobel obróciła się dookoła. Wszędzie widać było zwisające z kratownic pąki w różnych stadiach rozwoju. Wysoko ponad głową posągu, w sklepieniu z gęstych gałązek, ział okrągły otwór. Isobel dostrzegała przez niego płataninę czarnych konarów.

Gdzie się znajdowała?

I gdzie się podział...?

– Varen!

– Jestem tutaj.

Wzdrygnęła się, prawie krzyknęła, gdy ujrzała go tuż przed sobą. Popatrzyła mu w oczy, nieosłonięte już ciemnymi okularami.

Czarne, rozszerzone źrenice nie pozostawiły tam ani odrobiny koloru czy światła.

Spoglądała w tę ciemność, desperacko pragnąc odnaleźć w niej niepodważalny dowód, że to jednak Varen.

– Czy... Czy cokolwiek z tego jest rzeczywiste? – spytała. – Czy ty jesteś rzeczywisty?

Podniósł dłoń do jej policzka, jego palce musnęły jej skórę.

– Nawet jeśli to wszystko jest snem – szepnął – to ja nim nie jestem.

Isobel wytrzeszczyła oczy, rozpoznając słowa, które sama kiedyś do niego wypowiedziała. Wyciągnęła ręce, objęła go za szyję, przyciągnęła tak blisko, że ogarnął ją jego zapach – ta mieszanka kadzidełek, cytrusów i zeschniętych liści, tłumiąca żałobną woń niezliczonych kwiatów.

Pochylił się ku niej, jego włosy osłoniły ich twarze, łaskocząc ją delikatnymi pasmami.

– Nie odchodź – westchnęła.

– Jestem tu – szepnął. – Obok. Czekam.

I pochylił się jeszcze niżej. Isobel uniosła głowę, gotowa na dotyk jego ust.

Chciała przymknąć powieki, ale coś – jakby uczucie, że ktoś ich obserwuje – ostatecznie ją powstrzymało. Zerknęła ponad ramieniem Varena, znowu w kierunku kamiennej kobiety na szczycie fontanny.

Przez atramentową zasłonę włosów ujrzała, że oczy posągu się otwierają, i struchlała patrzyła, jak kamienna głowa odwraca się w ich stronę, a wypełnione ciemnością oczodoły celują wprost w nią.